

Łukasz Czeszumski

ZASADY WOJNY

1.1

Miasto Panama. Wieżowiec CDC Holding.

– Przerzucamy pana do Kolumbii w poniedziałek, czyli za trzy dni. Przez San Andrés i Barranquillę do Puerto.

– Broń?

– W depozycie. Do poniedziałku. Tu nie będzie panu potrzebna.

– A mój paszport?

– Zostanie w centrali aż do załatwienia dokumentów. Dostanie pan dokumenty zaświadczające, że pracuje pan jako doradca bezpieczeństwa oddziału naszej firmy. Wasz rząd nie lubi, gdy jego byli specjaliści wojskowi angażują się w kontrakty militarne w Kolumbii.

– Jak bardzo zmieniła się sytuacja od ostatniego razu?

– Bardzo dużo się zmieniło – stwierdził Garcia. – W Kolumbii jest nowy prezydent. Chce on całkowitej niezależności kraju w walce z rebeliantami, jak i w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa firmom naftowym. Tak jest zdrowiej dla *publicity*. Kolumbijski rząd nie chce żadnych skandali związanych z najemnikami, szczególnie tymi z Ameryki Północnej.

– I może jeszcze nic o nich nie wie?

– Ujmijmy to tak: on nie chce o nich wiedzieć. To już nie te czasy. Bogota jest na etapie dialogu z partyzantami. Gdyby

nagłośniono, że kilku gringos pracuje w Fuerzas Verdes i poluje na partyzantów, mogłoby to poważnie skomplikować rozmowy pokojowe.

Robert pokręcił głową z dezaprobatą. Proces pokojowy z bandytami, dobre sobie.

– Pan spędził tu tyle czasu i wciąż nie rozumie kolumbijskich realiów. – Garcia uśmiechnął się z politowaniem. – Ci ludzie dziś mogą być terrorystami, a jutro zasiadać w parlamencie. I w takim wypadku, gdyby rozniosła się ta sprawa, nasza firma zostałaby wyrzucona z kraju. My tego nie chcemy i myślę, że pan, panie Tucker, również nie.

– Pewnie, że nie chcę.

W gabinecie było bardzo zimno, klimatyzator pracował z pełną mocą. Po upale atakującym podczas półgodzinnej jazdy taksówką z lotniska międzynarodowego Tocumen do centrum Panama City chłód panujący w wieżowcu CDC był nie do zniesienia. Robert był tylko w podkoszulku i pożałował, że zostawił swoją bluzę w torbie. Ta została zarekwirowana podczas kontroli na posterunku bezpieczeństwa drugiego poziomu. „Z pakunkami nikt nie może wejść do środka” – powiedział nienaganną angielszczyzną czarny strażnik. – „Przepraszamy, ale zasady bezpieczeństwa muszą być przestrzegane”. Potem była bramka wykrywająca metal, gdzie zadziwiła wszystkich metalowa płytką w jego kolanie, i obłądnie śliczna dziewczyna w ubiorze pracownika ochrony, która doprowadziła go aż do gabinetu Garcii na trzydziestym piętrze. Teraz Robert siedział w skórzanym fotelu, na przemian podziwiając panoramę centrum Panamy rozciągającą się za oknem i studiując zawieszoną na ścianie mapę Kolumbii. Na mapie zielonym atramentem oznaczono rurociąg i obiekty

należące do firm wydobywczych, a czerwonymi liniami – trasy korytarzy powietrznych dla czarterów samolotów CDC z Panamy i wyspy San Andrés do prywatnych lotnisk firmy w Barranquilla, Araucenii i Puerto. Tej ostatniej miejscowości nie było na żadnej cywilnej mapie.

Garcia skończył pisaninę. Podsunął Robertowi jego kontrakt. Ten oficjalny, na ochronę siedziby CDC w Bogocie. Robert podpisał się.

– Zgodnie z tym, co jest tu napisane – objaśniał mu Garcia – pańska podstawowa pensja będzie wpłacana na amerykańskie konto z potrąceniem kwoty, jaką wyda pan podczas pobytu. Właściwa część zapłaty będzie wpłacana na konto banku CDC na Arubie, które panu założymy w poniedziałek. Uniknie pan części podatku, a my pytań, dlaczego płacimy pracownikowi ochrony średniego szczebla dziesięć tysięcy dolarów na miesiąc.

– W porządku.

– Pański paszport wyślemy teraz do konsulatu Kolumbii, aby wyrobiono panu roczną wizę. Oto pokwitowanie, które pokaże pan policji w razie kontroli. A to przepustka na wstęp do wieżowca. Odlot w poniedziałek, więc ma pan trzy dni wolnego. Będzie pan mieszkał w naszym hotelu tranzytowym, to budynek przylegający do Torre CDC, wejście od Calle 4. Radzę panu unikać wychodzenia na miasto.

– Dlaczego?

– Mieliśmy ostrzeżenia od kolumbijskiego DAS¹ o możliwości porwań pracowników lub ataków bombowych na

¹ DAS – Departamento Administrativo de Seguridad. Wydział rządu kolumbijskiego zajmujący się między innymi przestępczością zorganizowaną i terroryzmem.

nasze siedziby. Tu, w Panamie, obecnie działają komórki terrorystów związanych z FARC.

– Komórki FARC tutaj?

– Ta organizacja bardzo szybko się modernizuje, panie Tucker. I jest coraz skuteczniejsza w walce o swoje cele. Kto wie, być może naprawdę dojdzie do zawieszenia broni.

– Pokój to piękna rzecz. Ale dla mnie oznaczałoby utratę pracy.

Garcia uśmiechnął się szeroko.

– Takie jest życie, panie Tucker. Wszystko się zmienia. Niech się pan jednak nie obawia. Z pańskimi kwalifikacjami i doświadczeniem może pan znaleźć mnóstwo pracy w Kolumbii. I to za bardzo duże pieniądze. Dużo większe niż przy ropie. Jeśli pan sobie życzy, prywatnie udostępnię panu kilka kontaktów i zarekomenduję pana osobę.

– Z góry mówię, że praca dla kartelu nie wchodzi w grę.

Garcia rozłożył ręce.

– Przepraszam, chciałem tylko pomóc. Absolutnie prywatnie.

Amerykanin uśmiechnął się krzywo.

– W Puerto kiedyś znalazł się taki jeden, który to samo mi proponował – rzekł powoli – zmianę branży. Ten werbownik stracił wtedy sześć zębów, bo nie rozumiał, że są rzeczy ważniejsze od pieniędzy.

– Jakie to rzeczy, panie Tucker, są ważniejsze od pieniędzy?

– To są zasady.

– Ach tak.

Dyrektor pokiwał głową i podał mu przepustkę oprawioną w plastik.

– Poniedziałek. Lot przez San Andrés, o jedenastej trzydzieści rano. W niedzielę proszę przyjść do mnie po bilety lotnicze i dokumenty. Wszystko jasne?

– Wszystko.

– Życzę szczęścia, panie Tucker.

1.2

Plastikowa klatka ze ścianami wyłożonymi dźwiękoszczelną pianką, telewizor i okno z ciemnych szyb z widokiem na niewielki parking. Hotel tranzytowy służył pracownikom CDC w czasie krótkich pobytów w panamskiej siedzibie firmy, mieszkali tu na stałe kierownicy niższego szczebla, i oczywiście było to miejsce noclegowe dla ochroniarzy i kontraktorów czekających na transport do Kolumbii lub powracających z niej. Hotel przylegał do wieżowca CDC, lecz leżał w zacisznej uliczce, kwartale apartamentów wciśniętych między wieżowce banków. To była dobrze strzeżona okolica, a hotel był cichy, wygodny i z uprzejmą, nienarzucającą się obsługą.

W pokoju panował zaduch. Robert rzucił na łóżko swoją torbę, odzyskaną z rąk ochrony poziomu II, i włączył klimatyzator. Zdjął przepoconą koszulę, powiesił ją na wieszaku w łazience. W wieżowcu zmarzł, a po drodze do hotelu znowu zdążył się spocić.

Wziął odświeżający prysznic, przebrał się i włączył telewizor. Przez kilkadziesiąt minut przerzucał kanały, od pierwszego do sto czterdziestego, a potem od sto czterdziestego do pierwszego. Programy po hiszpańsku, angielsku, portugalsku, a

nawet jeden azjatycki, chyba z Singapuru. W końcu wyłączył telewizor, usiadł w fotelu i zaczął przeglądać gazety i kolorowe magazyny, których plik kupił na lotnisku.

Na pierwszy ogień poszedł „Newsweek”. Strona za stroną, tytuły, zdjęcia. Następny był kolumbijski dziennik „El Espectador”. Na pierwszej stronie relacja o eksplozji samochodu pułapki w Bogocie. Trzydzieści pięć ofiar. Czytał powoli, przypominając sobie hiszpański. Na razie nie było wiadomo, kto stał za wysadzeniem restauracji w centrum stolicy Kolumbii: gangsterskie porachunki czy cios FARC chcącej pokazać, że czasem wychodzi z dżungli. Tak czy owak, trzydziestu pięciu martwych cywilów.

Na trzeciej stronie fotografia spalonego samochodu. „Zabójcy prokuratora Salazara wciąż nieuchwytni”. Limuzyna prokuratora została naszpikowana pociskami na jednej z ulic w centrum Bogoty. Urzędnik zaangażowany był w sprawy łamania praw człowieka przez terrorystów. Zamach był najprawdopodobniej ich zemstą.

Robert wygarnął z bocznej kieszeni torby karton papierosów, kupiony w strefie bezcłowej w Miami. Otworzył paczkę, wyjął sztukę. Chwila wahania, trzaśnięcie pokrywą Zippo, wprawne zaciągnięcie się dymem. Rzucił kilka tygodni wcześniej. Jednak każdy musi mieć jakąś słabość. To chyba wolno facetowi, który wybiera się na wojnę.

Na piątej stronie „El Espectadora” krótka notatka: pięciu partyzantów zabito, a trzech schwytano w wyniku akcji żołnierzy z elitarnej grupy Lanceros w dżungli Putumayo. Na zdjęciu pięć ciał ułożonych w szereg, za nimi pozuje dumny dowódca oddziału.

„Teraz trzech partyzanci zostaną zamknięci w więzieniu dla politycznych pod Bogotą, a za parę miesięcy wymienią ich na wojskowych, którzy są zakładnikami w rękach FARC” – pomyślał i odłożył gazetę. Dwa lata go nie było, a wszystko tak samo jak kiedyś.

W kolejnym kolorowym tygodniku jedynym, co go zainteresowało, była całostronicowa reklama najnowszego modelu porsche. Lekki jak piórko pogromca tysięcznych tras, dwieście osiemdziesiąt koni mechanicznych pod maską.

„Fajne” – pomyślał. Mniej fajna była cena. Czterdzieści dziewięć tysięcy dolarów plus podatek. Można by lepiej wydać takie pieniądze.

Na koniec przejrzał numer „Playboya”, a potem odłożył gazety i postanowił wyjść na miasto, aby coś zjeść. Teoretycznie zgodnie z ostrzeżeniem Garcii opuszczanie strefy chronionej CDC mogło być ryzykowne, a posiłek mógł zamówić w hotelowej restauracji, lecz Robert nie miał zamiaru przejmować się tym. Ryzyko było częścią jego życia.

Wziął taksówkę i zamówił kurs na Via España. Zjadł w średniej klasy restauracji, a potem włóczył się po bulwarze, gapiąc się na wystawy sklepów z pamiątkami. Powoli przyzwyczajał się do upału. Wiedział, że w Puerto nie będzie ani specjalnych wygód, ani dobrego jedzenia, i że już pierwszego dnia weźmie go biegunka. Aklimatyzację przechodził intensywnie i boleśnie, ale na szczęście zawsze trwała krótko. Po kilku dniach w dżungli Robert był zawsze w swoim żywiole.

Pomyślał, że nie musi marnować tych trzech dni. Mógłby wynająć samochód i pojeździć po Panamie. Ruszyć na karaibskie wybrzeże albo jeszcze dalej, pod granicę Kostaryki. Jednak plan

upadł. Nie miał paszportu, aby wynająć samochód, i nie miał ochoty iść do Garcii i błagać go o dokument. Garcia był nieprzejednany w sprawie procedur i nigdy ich nie łamał. A procedury były jasne: dokument idzie do sejfów i tam czeka na odbiór wyznaczonego dnia.

Po kilku godzinach łożenia zmęczył się wystarczająco, by wrócić do hotelu.

– Ty jesteś Robert? – Potężny blondyn złapał go za ramię, zionąc z ust zapachem alkoholu. – Cywilny kontraktor?

– Tak.

– Co, jedziesz załatwiać czikoli w dżungli?! – zarechotał blondyn. – Jestem Terry, z ochrony kompleksu przepompowni w Barranquilli.

Uścisnęli sobie ręce. Dłoń Terry'ego była wielka i spocona, a uścisk Roberta niezbyt silny. Robert mocno podawał dłoń wyłącznie tym ludziom z ochrony, o których wiedział, że sprawdzili się w akcji. W całym CDC na palcach można było policzyć tych, którzy dostąpili tego zaszczytu.

– Czekam na przerzut do Puerto, za trzy dni – powiedział Robert.

– Nienawidzę tego wyczekiwania w Panamie, facet – pokręcił głową Terry. – Nikt mi nie potrafi powiedzieć, dlaczego codziennie CDC wysyła pięć samolotów do Kolumbii i pięć następnym razem z powrotem, a my musimy tyle czasu siedzieć na tyłku i czekać na transport.

– To przez biurokrację. Wizy, zezwolenia, cała ta papierkowa robota.

– Walić to. Grunt, że płacą nam od pierwszego dnia. No nic, ja właśnie skończyłem kontrakt i wracam do domu. Najwyższy

czas. Z tego, co się orientuję, nie ma więcej chłopaków w hotelu. Z nieba mi spadłeś, nie mam z kim wrębać skrzyni Buda. Razem sobie poradzimy, co?

Robert zaśmiał się i poszedł za Terry. I tak nie miał innych planów na ten wieczór.

Pokój Terry'ego zastawiony był skrzynkami piwa i whisky.

– Wygrałem cholerny zakład z moim szefem ochrony – wyjaśnił Terry. – Gdy zaczynałem robotę, mówił, że przez sześć miesięcy nawet nie usłyszę strzelaniny, więc nie mam się czego bać. Ale miałem cholerne przeczucie i słusznie, bo w Kolumbii skończyła się zabawa. O mało co, a wracałbym sztywny. Gość przegrał zakład i musiał mi kupić tyle amerykańskiego piwa i szkockiej whisky, ile mieściło się w bagażowni samolotu. Przytrzymałem go za słowo.

Terry nie mógł zabrać tylu skrzyń alkoholu ze sobą do Stanów bez zapłacenia cła, więc postanowił wypić wszystko na miejscu. Właściwie przez pięć dni czekania na samolot powrotny zdołał wykonać większą część zadania.

– Pierwszy raz w Kolumbii? – zapytał Terry.

– Drugi. Poprzedni dwa lata temu.

– Robisz w ochronie bazy?

– Nie, w Fuerzas Verdes. W mobilnej ochronie rurociągu.

– Pod komendantem McDovsem?

– Nie. W aktywnych oddziałach, pod gościem z Pentagonu.

Nazywają go Master.

– Nie słyszałem.

– Odszedł, zanim zacząłeś pracować, jakieś półtora roku temu. Szkoda, bo to był twardy gość. Większość z tych, co robili

pierwszy kontrakt, nie odnowili go, bo Kolumbia to najcięższa robota na rynku.

– Zawsze myślałem, że w mobilnych oddziałach pracują tylko *locales*.

– Trochę kontraktorów zagranicznych też. Na przykład ja.

Terry doił w niemiłosiernym tempie. Wypili po pięć piw i teraz Terry trzęsącymi się dłońmi odkorkowywał butelkę Johnnie Walkera. Robert zdołał wyciągnąć od niego, że przed zatrudnieniem w CDC służył w Dywizji Powietrznodesantowej i że w Kolumbii był pierwszy raz, na sześciomiesięcznym kontrakcie ochroniarza.

Potem Terry już nie kontaktował. Rozwalił się na fotelu i nie zważając na Roberta, prowadził swój monolog.

– Tam jest teraz piekło, facet. Pierdolone kolumbijskie piekło. Bomby, porwania, wszystko wokół ropy. Wiedzą, że firma musi płacić. Firma zawsze płaci. Nasze kompleksy w Araucenii i Barranquilli są chronione jak forteca, a i tak je atakują. Kiedyś tylko wysadzali ten pieprzony rurociąg. Teraz kęsa nas w mieście. Nie odpuszczają. Chcą nas zarżnąć. Ja już nie wierzę w to, że to się kiedyś zatrzyma.

Terry wpatrzył się w Roberta szklanymi, wielkimi oczyma.

– Strach, facet. Strach. Przez pierwszy miesiąc nie działo się nic. Nawet w czasie wolnym chodziłem do knajp w mieście. I mówiłem: kurwa, i w tym kraju jest wojna? Gdzie ta wojna? Wtedy się właśnie założyłem z tym gościem. A tu drugi miesiąc. Burmistrz Barranquilli jechał na wiec wyborczy. Osiem limuzyn – burmistrz, świta i policja. *Tangos* znali trasę przejazdu i ukryli ładunki wybuchowe w kilku ciężarówkach. Gdy osiem limuzyn burmistrza wjechało na główną arterię miasta, nacisnęli przycisk.

Pół ulicy zamieniło się w jedną wielką eksplozję. Ale to nie wszystko, bo zaraz potem wybiegli ukryci goście z kałasznikowami i zaczęli pruć do tych, co przeżyli wybuchy, i do policji, co jechała na pomoc. Dwadzieścia minut strzelaniny w samym centrum miasta. Jak mieli dość, to wskoczyli do porwanego autobusu i zwiali. Główna ulica wyglądała jak rzeźnia, facet. Jak pieprzona rzeźnia. Po tej akcji przez dwa tygodnie Barranquilla była obstawiona wojskiem i DAS. A wiesz, że o tym zamachu nawet nie wspomniano w wiadomościach poza Kolumbią? Dzwoniłem do kumpla w Colorado. A on mówi: „Nie pieprz bajek, codziennie oglądam CNN, słyszę: Afganistan, Izrael, Kongo, a o Kolumbii nic nie ma. Wyszukałeś sobie spokojną miejscówkę, stary!”. Spokojna miejscówka! – Terry łyknął prosto z butelki, westchnął i kontynuował: – Trzeci miesiąc, ostrzelali nasz posterunek przy wjeździe na prywatne lotnisko CDC. Potem capnęli nasz patrol. Na drodze za miastem. Zatrzymali jeepa, porwali czterech ludzi. Dwóch kontraktorów i dwóch inżynierów. Jednego kontraktora, chłopaka, którego znałem, Jeffa „Blowa”, zastrzelili w dżungli, a ciało wyrzucili na szosę. Pozostałych dotąd nie wypuścili. Mówiło się u nas po cichu, że partyzanci zażądali za nich pięć milionów dolarów, a firma nie chce zapłacić. Nie wiem, ile w tym prawdy, może to plotka. Może tak naprawdę wszyscy porwani już nie żyją. Straszny kraj. Nie warto tam jechać za żadne pieniądze.

– Przecież wiedziałeś, że jedziesz pracować do strefy wojny, Terry.

– Ale nie do takiego piekła.

– Każda wojna to piekło.

– A na ilu byłeś? – rzucił zaczepnie Terry. – Znasz specyfikę środowiska tutaj? Pewnie jak tu byłeś, to nic się jeszcze nie działo! Kolumbijczycy nas nienawidzą, kolego. Nawet ci, z którymi pracujemy. Bo jesteśmy obcy. Bo jesteśmy gringos i bierzemy ich ropę. Nieważne, że płacimy ich rządowi opłaty licencyjne za wydobycie łącznie z podatkiem na wojsko, a oni w zamian nie są w stanie zapewnić nam ochrony rurociągu. Nieważne, że gdy zabijemy jakiegoś terrorystę, robimy to w obronie własnej lub obiektu. Ważne jest dla nich tylko to, że jesteśmy obcy!

Terry wstał i podciągnął koszulę. Robert zobaczył ciąg poszarpanych blizn na jego boku i wklęśnięcie w ciele, jakby wycięto kawał ciała. Musiał tam uderzyć duży odłamek, wielkości co najmniej trzycalowego gwoźdźca.

– Widzisz?! – zajęczał Terry. – To cud, że jeszcze żyję. Kawał tego ich granatu przebił mi kamizelkę, wyrwał trzy żebra i poszarpał całe płuco. Gdy mnie znaleźli, właśnie zdychałem w kałuży własnej krwi, dusząc się. Dobrze, że w bazie jest sala ambulatoryjna.

– Jak to się stało?

Terry usiadł i pociągnął łyk whisky.

– To był czwarty miesiąc kontraktu. Mieliśmy transport zaopatrzenia z portu w mieście do stacji pomp. Konwój pięciu ciężarówek. Trzeba było go ubezpieczać. Z Buenaventury do stacji pomp jest, jak wiesz, około osiemdziesięciu kilometrów. Kawał drogi i w tym czasie cholernie niebezpiecznej. Dopóki jedziesz główną szosą, nic ci się nie stanie, ale wjeżdżając w góry, jesteś w czerwonej strefie! Co najmniej raz w tygodniu FARC robiła blokadę i rabowali wszystkie zatrzymane samochody. Co prawda czuliśmy się pewnie, bo podczas kontraktu zrobiliśmy tą trasą

kilkanaście konwojów i nic się nigdy złego nie stało. A jak się miało stać?! Mieliśmy dane z wywiadu na temat ruchów FARC, nad konwojem leciał śmigłowiec i informował przez radio, jak wygląda sytuacja na drodze, z przodu zwyczajowo dostawaliśmy transportery armii kolumbijskiej, by jakby co w razie potrzeby wsparli nas ogniem z działek 20 mm. Ale tym razem wszystko się popieprzyło. Konwój trzeba było odprawić w nocy, zaraz po rozładowaniu statku w porcie. Inaczej do rana portowa mafia zwinęłaby maszyny, a po dwóch miesiącach usłyszelibyśmy, że kupił je ktoś z Brazylii. Więc konwój odchodził o 00:00 z portu. Dostaliśmy rozkaz z godziny na godzinę, nie było czasu na przygotowania. Ani wsparcia Kolumbijczyków, ani śmigłowca. Pojechałem tam jako szef pododdziału, mieliśmy trzy SUV-y. Nieopancerzone, bez broni ciężkiej, załoga razem ze mną, to było marne dziesięć osób.

W porcie przejęliśmy konwój i ruszyliśmy przez miasto. Potem przez groblę do Cienaga. Minęliśmy posterunek armii przy wyjeździe z głównej szosy, przejechaliśmy na południe około dwunastu kilometrów i wtedy się zaczęło. Droga zatarasowana pniami drzew i płonącymi oponami. Gdy tylko zaczęliśmy manewr zawracania, posypały się kule. SUV, który osłaniał tyły, palił się i zablokował nam wszystkim powrót. Byliśmy jak mrówki na patelni. Nie ma gdzie uciekać, z jednej strony szosy przepaść, z drugiej zbocze zarośnięte dżunglą, stamtąd wałą w nas *tangos*. Nieźle wybrali miejsce, dranie. Mój SUV był w samym centrum. Kuliłem się i wzywałem pomoc przez radio, chociaż nie było żadnego sensownego ubezpieczenia i jedyną odsiecz mogliśmy dostać tylko z miasta. Dwaj partnerzy odpowiadali ogniem zza drzwi. Strzelaliśmy na ślepo, żeby tylko zapewnić sobie osłonę.

To trwało cholernie długo, poszły wszystkie szyby, kumple strzelali, ja przez radio wywoływałem inne załogi. Wtedy mój partner z lewej dostał w łeb. Normalnie odłupało mu pół głowy, płyny obryzgały cały samochód. Wtedy rzuciłem radio i wybiegłem, by kierować walką na zewnątrz. Chciałem schować się za blok silnika drugiego samochodu, żeby mieć osłonę. – Terry wstał. Trząśł się, gdy o tym opowiadał. – Pamiętam tylko wrzaski, strzały, huk, gdy ich pociski rozbijały nasze pojazdy. Nie wiem, co było dalej, wyłączyło mnie. Musiałem oberwać odłamkiem, gdy wycofywałem się za samochód. Nic nie poczułem, po prostu ciemność. Na chwilę odzyskałem świadomość. Leżałem na ziemi, kurewsko bolało, ryczałem z bólu i dusiłem się jednocześnie. Dotknąłem boku, to była krwawa miazga. Wkoło chyba dalej trwała walka, a może to tylko wyobraźnia. Ciężarówka paliła się tuż przy mnie. Leżałem na plecach z wyprutą klatką piersiową, łzy ciekły mi z bólu, nie mogłem się poruszyć i dusiłem się. Zdychałem jak pies. Całe szczęście, nie dobili mnie. Może mnie nie zobaczyli za tą ciężarówką. Wreszcie przyjechały posiłki, kolumbijscy komandosi. FARC zwiąła. Jakiś konował udzielił mi pierwszej pomocy, a potem wojskowym helikopterem zabrali mnie do kliniki w kompleksie CDC. Cztery miesiące leżałem w szpitalu.

– To była przypadkowa blokada czy wiedzieli o waszym konwoju?

– Nie ma mowy o przypadku. Tą drogą nikt o zdrowych zmysłach nie jeździ nocą. Po co więc robić blokady? A każdego ranka szlak sprawdzany jest przez samolot zwiadowczy. Czekali dokładnie na nas. I czemu się dziwić? Oni mają informatorów w zarządzie portu, we wsiach i w miasteczkach, w agencjach

morskich, wszędzie. Wiedzą o każdym naszym kroku. Każdym! I walą, jak na strzelnicy! Bo wiedzą, że jak utrudnią CDC robotę, to firma będzie musiała zacząć płacić im haracze za spokój. Firma nigdy na to nie pójdzie, bo życie kontraktorów jest tańsze.

– Gdyby CDC opłacała się terrorystom, to my nie bylibyśmy im potrzebni – stwierdził Robert.

– Mam to gdzieś! Ja chcę żyć! A nie ginąć za pięć tysięcy pensji w jakiejś zaszrannej dżungli!

Terry gwałtownym ruchem porwał z blatu stołu butelkę i wypił trzy duże łyki, nie odrywając ust od gwintu. Na końcu powiedział:

– Śmierć to jedyne, co czeka w tym kraju. A teraz firma nie chce mi zapłacić odszkodowania...

– Jak to?

– Będę kaleką przez resztę życia. Wypłacą mi jakieś ochłapy, bo wziąłem kiepską polisę...

– To jest wojna, Terry. Przykro to mówić, ale chyba wiedziałeś, w co się pakujesz.

Terry rzucił butelką Johnnie Walkera o ścianę. Rozprysnęła się, alkohol ściekał na dywan.

– Pierdołę to! – wrzeszczał Terry jak opętany. Pierdołę, rozumiesz?! Chcę być w domu, nie tu! Chcę być daleko stąd, a na co czekam? Na co ja tu, kurwa, czekam?

Terry dorwał się do kartonu z whisky i wyrwał dwie butelki. Rzucił jedną w okno, wrzeszcząc coś płaczliwym głosem. Robert próbował go uspokoić, lecz Terry wyrwał mu się. Złapał za drzwi od toalety i kopniakiem wyrwał je z zawiasów. Potem rozbił butelkę o kant stołu, w swojej ręce pozostawiając urwaną szyjkę. Sapał głośno, wyrzaskiwał przekleństwa, wymachiwał szkłem.

Robert uniósł ręce w uspokajającym geście i czekał, aż Terry'emu wróci rozum. W tamtego tymczasem wstępowały nowe demony. Kopnął krzesło w stronę drzwi, a potem krzyknął:

– Nie ma wyjścia z piekła, rozumiesz mnie?! – I ciachnął się szkłem po szyi.

Robert skoczył, aby go obezwładnić, lecz w tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wtargnęli ludzie z ochrony hotelu. Robert cofnął się, by nie robić zamętu. Ochroniarze złapali Terry'ego za ręce, wykręcili mu je do tyłu, odebrali szkło. Krew ciekła z niegroźnej rany na podbródku. Terry wił się w uścisku, miotając przekleństwa. Przez chwilę się szamotali, aż pijany opadł z sił, i wynieśli go z pokoju.

Szef ochroniarzy – czarnowłosa, krótko obcięty chłopak rozejrzał się po zdemolowanym pokoju. Z dezaprobatą pokręcił głową na widok powywracanych kartonów z piwem, rozbitych butelek i porozlewanej whisky.

– Gdzie go zabieracie? – zapytał go Robert.

– Mamy tu jedną izolatkę – zaśmiał się lekko ochroniarz. – Temu facetowi już drugi raz się to zdarza. Ale przechodzi mu. Wzywamy lekarza i dostaje proszki. Wie pan, on był ranny w Kolumbii i... – ochroniarz postukał się palcem w skroń – ma czasem takie napady. Nie powinien pić, to wzmaga jego agresję. Lekarz ostrzegał, ale ten nie dał sobie zabronić. Chciał się z nami bić o to piwo.

– Kiedy wraca do domu?

– Jutro rano zawozimy go na lotnisko. Dość mamy z nim kłopotów.

Wychodząc z pokoju Terry'ego, Robert wziął dwie puszki budweisera. Wypił je przed snem, za zdrowie Terry'ego.

KONIEC FRAGMENTU

Książka do nabycia na stronie www.czeszumski.com